

POSKROMIENIE ZŁOŚNICY - RECENZJA

Mimo wielu zastrzeżeń przedstawienie ma w sobie coś intrygującego.

Ciekawym pomysłem jest pokazanie pomijanego zazwyczaj w inscenizacjach **Poskromienia złośnicy** prologu (i tworzącego z nim kompozycyjną klamrę epilogu). Dwie sceny prologu i króciutki fragment na zakończenie sztuki nie rozgrywają się w Padwie, lecz przed angielską karczmą. Pijany Krzysztof Okpisz zostaje dla kawału przeniesiony do pałacu i przebrany za wielkiego pana. Gdy się budzi, wszyscy wmawiają mu nową tożsamość. W szlachetnym stroju ucztuje i... ogląda wędrownych komediantów. Większa część sztuki, opowieść o Petruchiu, Kasi, Biance, ich ojcu i zalotnikach, to teatr w teatrze, a uwzględniając epilog - teatr w teatrze we śnie. Żebrakowi śni się, że jest panem, oglądającym przedstawienie o poskromieniu złośnicy. Może my też jesteśmy takimi pijakami? W dodatku reżyserka powierzyła role Okpisza i Petruchia temu samemu aktorowi, niejako utożsamiając ich ze sobą (nie bez przyczyny - na pijanego Okpisza czeka w domu awanturnicza żona). Mamy więc sen o byciu wielkim panem, który ogląda przedstawienie, jednocześnie w nim występując. Może to sen, a może rodzaj komputerowej gry FPP?

To skojarzenie prowadzi nas do kwestii uwspółcześnienia pokazanych wydarzeń. Realizatorzy wybrali współczesne tłumaczenie Barańczaka, w dodatku rezygnując na ogół z mówienia wierszem (szkoda), zrezygnowali także z historycznego kostiumu (z wyjątkiem prologu). Postacie włoskich mieszczan noszą współczesne koszule, adidas, miniówki, a nawet bokserki. Elementy kostiumu (np. surdut Petruchia) funkcjonują jedynie na zasadzie cytatu. Rodzi się zatem pytanie o aktualność przedstawienia. Czy historia o poskromieniu (samo to słowo musi niektórych doprowadzać do szału!) zbuntowanej dziewczyny nie jest dziś herezją wobec prawd wiary wojującego feminizmu? A może reżyserka zostawiła prolog, by się zabezpieczyć przed spalaniem na stosie krytycznej poprawności.

A może jednak nie. Może prolog i epilog zostały, bo tak napisał Szekspir. Kimże w końcu jesteśmy, żeby go poprawiać? Małgorzata Warsicka ma co prawda - zgodnie z panującą modą - dramaturga, ale na szczęście Hubert Sulima nie przepisuje tekstu, dokonując jedynie drobnych skrótów. Może Szekspir jest dla realizatorów wyrocznią, a przedstawienie jest właśnie o tym - o potrzebie mistrza, o braku autorytetu. Grana przez Mateusza Mosiewicza postać ojca Kasi i Bianki nie sprawdza się w tej roli. Owszem, wydaje on córkom jakieś polecenia, kształci je i chce dobrze wydać za mąż, ale wychowania dzieci nie odróżnia za bardzo od swoich interesów. Ich przyszłość do sprawa do załatwienia, wydanie Kasi za mąż to pozbycie się kłopotu. Z drugiej strony przyznajmy - Kasia (Michalina Rodak) nie jest osobą przyjemną. Pyskuje ojcu, jest agresywna wobec siostry, której zazdrości powodzenia, kpina i buta to dla niej chleb powszedni. Mierzi ją ten cały światek zalotników i posagów. Nikt jej nie lubi, bo jest złośliwa, czy może jest złośliwa, bo nikt jej nie lubi. Z tego zaklętego kręgu potrafi ją wyrwać Petruchio, który oprócz dręczenia i poniżania, ma dla niej jasny komunikat: tak, chcę właśnie ciebie.

Może kobiety - także dzisiaj - lubią taką postawę. Może szukają mężczyzn zdecydowanych, konsekwentnych, napisałbym twardych, ale Barańczakowe gry w dwuznaczność wytrącają mi tę twardość z ręki. Dopiero na skutek tego, że takich mężczyzn nie znajdują, rozpoczynają te gry w nadąsanie i obrażanie, w których trzeba się mocno poobijać, by się ze sobą spotkać. Dowody na taką interpretację? Jest w tym przedstawieniu intrygująca postać Wdowy, granej przez Milenę Staszuk. Przez dłuższy czas siedzi sobie z boku, nie biorąc udziału w wydarzeniach. Gdy zauważyłem ją kątem oka, na dłużej przykuła moją uwagę. Jej zmysłowość, jej czerwona suknia i szpilki, zupełnie niepasujące do wdowy. Ten strój symbolizuje namiętność, którą nieszczęśliwie zakochana kobieta

jest przepełniona. Z małej wzmianki w tekście sztuki reżyserka i aktorka zrobiły całą postać. Jej kwestie (już po ślubie) banalne i salonowe, ale to czekanie...

Nie wiem, czy dobrze odczytałem intencje reżyserki. Na pewno chciała powiedzieć coś serio na temat współczesności. I tu mam problem: ten poważny ton został bowiem zrównoważony wygłupami. W efekcie dostaliśmy poważną komedię zrobioną na farsę, w której za dużo jest błazenady (a publiczność swoimi reakcjami ten farsowy element wzmacnia). Przebieranie bohaterki w szmaty przygotowane zamiast sukni - zbyt dosłowne, machanie skarpetą jak maczugą - sztubackie, dodatkowe wzmacnianie już i tak ryzykownych aluzji (na przykład gdy Petruccio podstawia się Kasi jako stołek, a ona stopą miążdzy mu przyrodzenie) - momentami niesmaczne. Trafić w odpowiedni ton - oto jest zadanie.

Niespójne jest też budowanie przestrzeni scenicznej. Początkowo wykorzystywane ładne efekty świetlne i rytm powtarzających się wyciemnień z czasem ustępują miejsca (prawie) pustej scenie i chaotycznym pochodom za kulisy i z powrotem, często tłoczącej się grupy aktorów. Kto jest kim w tej grupie - to osobna kwestia. Nie dosyć bowiem, że aktorzy grają w prologu inne postaci niż w sztuce właściwej, nie dość, że imiona mają podobne jak w chińskich powieściach, nie dość, że jak to w komediach ciągle ktoś się pod kogoś podszywa, nie dość, że dramaturg połączył dwie postaci (dwa imiona) w jedną, to jeszcze... ktoś odpowiedzialny za redakcję programu zupełnie sobie z tym nie poradził. Tak samo zapisywana jest podwójna obsada, jak i granie dwóch postaci, przy czym nie rozróżniono postaci z prologu od pozostałych. Dlatego rozpoznanie wszystkich postaci i przypasowanie ich do nazwisk aktorów graniczyło z cudem.

Trudno zatem wystawiać indywidualne cenzurki. Przekonująco wypadł Patryk Pietrzak jako Okpisz i Petruccio. Zawadiacki, pewny siebie, umiejętnie posługujący się ironią, może trochę zbyt głośno grający (choć z drugiej strony gra przecież aktora grającego postać). Filigranowa Michalina Rodak mniej pewna w ruchach, potrafi nasycić niełatwe kwestie emocjami. Nie dostrzegłem natomiast momentu, w którym zmienia się jej stosunek do Petruccia. Paweł Dobek w roli służącego Petruccia pokazuje talent komediowy. Podobnie jak obdarzony niesamowitą powierzchownością, tyczkowaty Michał Barczak, którego wygląd był świadomie wykorzystywany - olbrzymie białe buty, przyciasna marynarka. To może być gwiazda kabaretów.